

* * *

Zimą Wieprz zamarzał i wyrąbiano z niego potężne bryły lodu, które następnie zwożono saniami do lodowni. Prowadziło do niej niewielkie okienko w murze obronnym klasztoru od ulicy Zwierzynieckiej. Warstwy układanego tam lodu były przesypane trocinami. Po zapełnieniu lodowni otwór do niej zamurowywano, aby otworzyć go dopiero latem.

Bez lodu nie mogła się obejść produkcja lodów. Często my, dzieci, przyglądaliśmy się ich produkcji, czekając, aż będą gotowe do spożycia. Do wysokiej na około czterdzieści centymetrów drewnianej beczki wkładano mniejszy, okrągły, blaszany pojemnik, a przestrzeń pomiędzy nimi zapełniano pokruszonym lodem. Do metalowego pojemnika wlewano płyn sporządzony z mleka, żółtek, cukru, dodawano zapachy, np. wanilii, i zakrywano go pokrywą. Następnie ręcznie nadawano pojemnikowi ruch obrotowy, kręcąc nim przy pomocy odpowiednio wymodelowanego grubego drutu. Przestrzeń pomiędzy drewnianą beczką i blaszanym pojemnikiem często uzupełniano lodem, który topił się i wypływał z beczki otworem w jej dnie. Po kilkunastu minutach obracania blaszanego pojemnika w lodowej mieszance, płyn znajdujący się w nim zamarzał, tworząc smaczne lody.

Lodem chłodzono też inne artykuły spożywcze. Nie było jeszcze lodówek. Chłodzono nim np. kilkudziesięciu litrowe metalowe syfony z wodą sodową, którą sprzedawano w upalne dni na szklanki, z sokiem lub bez, w kioskach, tzw. budkach, usytuowanych na rogach rynku przy głównej ulicy – Zamojskiej.

Lód i zima przywołują wspomnienie świąt Bożego Narodzenia. Z punktu widzenia liturgicznego i ewangelicznego najważniejszym świętem chrześcijańskim jest Wielkanoc, ale najmiłym Boże Narodzenie. Tak pisze o nim Karol Dickens:

„Niezliczone, zaiste, są serca, dla których Boże Narodzenie jest czasem wesela i radości. Ileż to rodzin, których członkowie rozproszyli się po całym świecie w twardej walce o byt, zbiera się wtedy, przeżywając chwile radości i pogody, dalekiej od trosk tego świata. Zaliczają Boże Narodzenie do chwil najszczęśliwszych, niosących błogosławieństwo i ukojenie. Piszemy te słowa, a wiele mil i czasu dzieli nas od grona najbliższych. Wiele serc, które się wtedy radowały, przestało już bić. Wiele oczu, które wtedy patrzyły tak radośnie zamknęło się. Ręce któreśmy ściskali są zimne i martwe. A jednak wspomnienie starego domu, pokoju, głosów, twarzy, uśmiechów, zabaw budzi się w naszych duszach, co rok, gdy zbliża się ów dzień, z taką wyrazistością, jakby to, co dawno minęło działo się wczoraj! Szczęśliwy, szczęśliwy dniu, który potrafisz nas przenieść w czasy dzieciństwa, który potrafisz przypomnieć staremu radość młodości,



Wjazd do Szczębrzeszyna od strony Brodów, i most na rzece Wieprz, przed I-szą wojną światową. Droga „gruntowa”. Po lewej stronie u góry kościół pw. św. Katarzyny, kiedyś klasztorny powszechnie nazywany nadal klasztorem, i przylegający doń szpital utworzony w 1812 r. w zabudowaniach poklasztornych. W oddali synagoga i czynna w tamtym okresie cerkiew.

który sprawiasz, że żeglarz i podróżnik, choć dzielą ich całe mile, w dniu tym, chociaż myślą wracają do rodzinnego domu”.

Na terenach wiejskich najdłużej utrzymywały się stare zwyczaje, jeszcze z czasów pogańskich. Dzień wigilijny i święta Bożego Narodzenia wpisały się w okres przełomu zimowego, kiedy jest ostatni najkrótszy dzień, a od następnego zaczyna się wydłużać. Obchodzony był przez wszystkie plemiona agrarne, romańskie, germańskie i słowiańskie. Od IV wieku naszej ery ustalono, że w tym dniu będą obchodzone narodziny Chrystusa. W pogański dzień wiosennego zrównania dnia z nocą, budzenia się przyrody do życia, jej zmartwychwstania, odrodzenia, postanowiono obchodzić Wielkanoc. Z pogańskimi atrybutami oczyszczania przez wodę i ogień, i z symbolem odrodzenia – jajkiem.

Święta Bożego Narodzenia powszechnie na naszym terenie nazywano „święta godne, lub godnie” od starosłowiańskiego słowa god = rok. Świadczyłyby to, że wtedy kończył się stary rok i zaczynał nowy. Zapewnie, tak jak i my, nasi praprzodkowie pościli ostatni dzień roku i wyprawiali ucztę na przywitanie nowego.

Z czasów pogańskich przetrwało wiele innych przesądów i zwyczajów. Jeśli w dzień wigilijny przyszła do domu jako pierwsza kobieta, obojętnie siostra, sąsiadka czy żebraczka, wróżyło to, że następny rok będzie zły. Aby temu zapobiedz już od rana biegali chłopcy po domach z życzeniami: „Szczęścia, zdrowia winszujemy na tę świętą wiliję”. W ten sposób pierwszy do domu przychodził mężczyzna to nic, że nieletni. Oczywiście coś tam za te życzenia dostawali, zwykle parę groszy. Dlatego do nas przychodziło ich zawsze kilku, bo mało było domów gdzie dostawali pieniądze.

W dniu tym trzeba było oddać wszystkie pożyczone rzeczy – tak pieniądze jak i np. książki czy szklankę cukru. Należało odpuścić wszystkie doznane krzywdy czy przewinienia. Pozbyć się całego balastu starego roku. Tak, aby w nowy rok wejść z „czystym kontem”.

Ze starych czasów pochodził zwyczaj, że w pomieszczeniu, w którym jadło się wieczerzę wigilijną stał w kącie okazały snop zboża. Gdy później były małe wnuki ojciec rozkładał na podłodze słomę, na której mogły sobie baraszkować. Po wieczerzy dawało się bydłu pokruszony kawałki opłatka koloru zielonego. Nie mieliśmy imponującego sadu. Trochę wiśni, malin, truskawek zwanych przez miejscowych chrustawkami, i gruszę bociankę. Tą grusze obwiązywało się powróstem, aby lepiej rozdziła.

Wszystkie te zabiegi miały, przynieść w przyszłym roku dobre plony w polu, sadzie i oborze. Ojciec nie robił tego z przekonania, lecz dla podtrzymania tradycji.

Cały dzień wigilijny pościło się – dzieci dostawały mleko i chleb.

W pokoju stołowym ubierało się dużą choinkę przyniesioną uprzednio z lasu. Często chodziłem po nią z ojcem. Po prostu każdy szedł do lasu, wyszukiwał sobie przeważnie ładną jodełkę i wycinał. Nieznane było kupowanie jej na targu lub w nadleśnictwie. Nikt tego odwiecznego proceduru nie uważał za jakieś przestępstwo. Po to rosły w lesie choinki, aby je ściąć na Boże Narodzenie.

Choinkę ubierały dzieci. Kiedy nie mogliśmy osiągnąć do czubka, który znajdował się pod samym sufitem, ojciec zawieszał tam zawsze tego samego aniołka, Później, kiedy podrośłem i stojąc na krześle dosięgałem czubka choinki, sam go zawieszałem. Choinka była ubrana skromnie tak jak wszystkie choinki w tamtych czasach. Trochę orzechów włoskich opakowanych w srebrne lub złote tzw. pozłotko, jabłka, cukierki choinkowe podłużne podobne do ołówków, i kolorowe bańki. Opasana była długim łańcuchem. Łańcuch był z roku na rok ten sam, ale dorabiało się go trochę prawie co roku. Ze specjalnego papieru o różnych kolorach wycinało się szerokie na centymetr i długie na 10 cm paski. Taki pasek przekładało się przez już istniejące kółko łańcucha i sklejało się klejem z mąki lub z miąższu kasztanów. W ten sposób powstawało nowe kółko, do którego wsuwało się następny pasek, sklejało itd. Sąsiadujące z sobą kółka były robione z papieru o innym kolorze. Na choince były umieszczone świece w specjalnych uchwytach.

Dzień wigilijny był dla wszystkich bardzo pracowity. Oprócz normalnego obładu tj. trzykrotnego karmienia krów, koni i świń, dojenia krów, trzeba było przygotować dla nich pokarm na pozostałe dwa dni. Różno się dużo sieczki, parzyło w specjalnym kotle zwanym parnikiem kartofle itp. Trzeba było napiłować i narąbać na zapas drzewa, nanosić ze studni wody itd. Cały dzień paliło się w kuchni, bo gotowały się potrawy wigilijne. Oczywiście jak zawsze w zimie trzeba było palić dwa razy dziennie w piecach ogrzewających jadalnię i sypialnię.

Po wykonaniu wszystkich tych czynności następowało golenie, mycie się i ubieranie w świąteczne ubrania. Kiedy wszyscy byli już gotowi, a pora wskazywała, że już mogła świecić pierwsza gwiazda, a czasami, jeśli była pogoda, faktycznie już świeciła, zasiadano do wigilijnego stołu.

Stół wigilijny zastawiano prawie zawsze w kuchni, a już na pewno podczas okupacji i kilka lat po wojnie, aby nie być widocznym od strony szosy. Pod obrus

układano tradycyjnie sianko. Odmawiano modlitwy: Ojcze Nasz i Zdrowaś Mario, dzielono się opłatkiem składając sobie życzenia, i zasiadano do kolacji wigilijnej.

Potrąw nie liczono, ale na pewno było ich 12 lub więcej wliczając w to chleb, sól i inne przyprawy. Barszcz czerwony z uszkami, pierogi z kapustą i grzybami, kluski z makiem, kutia, kisiel. Problem był z rybami, bo nie było w pobliżu żadnych stawów, a o morskich, chociażby śledziach, szczególnie podczas okupacji nie było mowy.

Kutię, potrawę przywiezioną przez mamę z Sokala, robiło się z łuskanej pszenicy, utartego w makutrze maku, miodu i ewentualnie bakalii. Pszenica łuskana była w stępie. Chodziłem na Lipowiec, za Brodzką Górę gdzie bodaj u Pupców była stępa i żarna. Wsypywało się do niej kilka garści pszenicy i tłuczkiem tłukło tak długo, aż z pszenicy odpadły łuski. O ile kutia była smaczna to tradycyjny kisiel nie przez wszystkich był lubiany.

Ponieważ w tamtych czasach nie było telewizji ani radia, kolację jadło się powoli i z przerwami na kolędy. Śpiewało się ich dużo. Dzisiaj przeglądając płyty z tradycyjnymi kolędami widzę, że znam je prawie wszystkie. I mama i ojciec mieli niezłe głosy i lubili śpiewać. Rozmawiało się o różnych sprawach wesołych i smutnych, o tym „jak drzewiej bywało”, i o tych, co odeszli.

Potem szło się na pasterkę odprawianą o godzinie 12-tej w nocy. Jechało sporo sań – parafia była duża, obejmowała kilka sąsiednich wsi, m.in. Żurawicę, Brody Małe i Duże. Zimy były śnieżne i mroźne, pamiętam takie, gdy temperatura sięgała minus 20 stopni. Niebo było wtedy wygwieżdżone, zmarznięty śnieg skrzypiał pod butami. W nocy często nie było wiatru, bardzo wyraźnie i daleko rozchodził się głos. To też jak gruchnęła w kościele potężna kolęda „Bóg się rodzi” słycać ją było daleko.

Nazajutrz w pierwszy dzień świąt odsypiało się pasterkę i siedziało w domu. Drugi dzień, świętego Szczepana, był przeznaczony na odwiedziny krewnych.



Targ na rynku w Szczepieszynie w latach okupacji, lub tuż po wojnie. Widać dwie tzw. budki stojące na rogach rynku i kościoła, w których sprzedawano lody, wodę sodową itp. Dalej z prawej, przed kamienicami bieda-sklepiki.